Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 46.
dnia 16. Października 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

— Zaprzęgać natychmiast! — krzyknął pan Tadeusz Ilski, wybiegłszy na ganek o pierwszej godzinie w nocy, wpatrzony w złowrogi blask łuny na niebie, która odbita od pożaru niedalekiego, oświeciła podwórze i zabudowania gospodarskie jego majętności. — Zaprzęgaj Pawle! gdzie to się pali? — zapytał nadbiegającego stróża nocnego.

— Proszę Wielmożnego Pana, podobno Proszów się pali! — odpowiedział tenże.

— Kto tam mieszka, czyj Proszów? — zapytał pan Tadeusz, widocznie nie oddawna tu mieszkający, gdy potrzebował zasięgać wiadomości o bliskich sąsiadach; nie dosłuchał jednak odpowiedzi, gdyż zajechały sanki przed ganek, a on wbiegł do pokojów, by zarzucić futro na siebie; w mniej jak minutę siedział już w sankach i wyrwawszy lejce z rąk woźnicy, zaciął konie biczykiem i popędził jak wicher. Zima z całą swą grozą szumiała wichrem po polach, okrytych całunem śniegu i rzucała nim w oczy jadących. Podróż nie trwała jednak długo, nie minęło pół godziny, a podróżni ujrzeli się wśród ognia, niszczącego piękny pałac i budynki inne, jakoteż zboża zsypane w szpichlerzu. Tadeusz wyskoczył z sanek i zobaczył się wśród mnóstwa ludzi, przypatrujących się pożarowi — gdyż o ratunku przy okropnym wietrze, a żadnych wiejskich środkach, myśleć nawet nie można było. — Nie był tu nigdy, więc nie mógł się też zorientować, gdy naraz usłyszał krzyk straszny, rozdzierający: „Lonia! Lonia!“. Odwrócił się; — o kilka kroków od niego stała bosemi nogami na śniegu kobieta, okryta jakimś szalem na prędce zarzuconym na siebie; obok niej druga, widocznie nierównie młodsza; ta zdawała się zupełnie nieprzytomna, gdyż usta jej były silnie zaciśnięte, a oczy szeroko rozwarte; trzęsła się jak w febrze, bo lekki, nocny kaftanik miała tylko na sobie; w jednym z okien górnych pałacu, stał młody chłopiec wśród płomieni, które tamowały mu wyjście i zdawały być pewnemi ofiary, którą za chwil kilka miały pochłonąć. Chłopiec jednak musiał mieć wiele odwagi i przytomności, gdyż stojąc z rozkrzyżowanemi rękoma zawołał silnie:

— Słomy, bo się duszę! — W tej chwili Tadeusz ze sanek swych wyrzucił wszystko, co w nich było, a młodzieniec ruchem jak myśl szybkim rzucił się na tę podściółkę. Nie powstał jednak zaraz, tylko boleśnie jęknął. Kobieta starsza zemdlała, młodsza skamieniała. Tadeusz usiłował podnieść chłopca i ocucić zemdloną.

— Zdaje mi się, że złamałem rękę — rzekł młody chłopiec, podnosząc się — ale to nic, ratuj pan babcię! — i rzucił się ku drugiej, stojącej jak posąg kobiecie, a obejmując ją swojem ramieniem zawołał:

— Mamo! Mamo! to ja, Lonia przy tobie. — Wtedy dopiero kobieta krzyknęła głosem, jaki tylko pierś matki wydać może i padła na kolana.

Ogień tymczasem szerzył się coraz dalej, kobiety obydwie skupiły się koło Lonia i zarzuciły mu ręce na szyję — drżały od zimna, choć płomienie buchające twarze im paliły; — wtedy przystąpił do nich Tadeusz i rzekł:

— Jestem sąsiadem państwa od dwóch tygodni — nie mam nawet przyjemności znać ich jeszcze z imienia, smutny jednak wypadek pożaru sprowadził mnie w ich progi. Myślałem, że się na coś przydam, lecz widzę, że wszelki ratunek jest tu niemożebny. — Nie wiem jaki jest wasz stosunek do okolicy, przebaczcie mi więc panie, że jestem tak śmiały narzucić im się z prośbą sąsiedzką i serdeczną: — Chciejcie znaleźć w domu moim chwilową gościnność i jedźcie panie natychmiast do mnie, bo tu nic nie pomożecie, a przeciwnie zaszkodzić zdrowiu łatwo można. — Podały mu rękę kobiety, a starsza odrzekła:

— Szlachetny współudział nieznajomego nie pozwala zastanowić się nawet, ile jest może niestosowności w przyjęciu tej ofiary, Bóg zapłać za nią i przyjmujemy wdzięcznem sercem na jeden lub dwa dni schronienie w domu jego.

Złożyli się obecni by jakiemkolwiek okryciem osłonić przed burzą tych, których drogie futra i ko-

sztowności w popiół się zamieniły i Tadeusz usadowił panie w swych sankach, młodego chłopca umieścił przy sobie na koziołku, rozkazawszy służącemu iść piechotą, a popędziwszy konie, w kilkunastu minutach zajechał przed ganek swojego domu.

— Światła i gorącej herbaty! — krzyknął wpadłszy do sieni, a wróciwszy w tej chwili do sanek, przy pomocy młodego chłopca prawie zniósł siedzące w nich panie do pokoju. Panie drżały obydwie, szczególnie młodsza, padłszy na miękką sofkę, rozpłakała się głośnym płaczem, tuląc rękę chłopca na swych piersiach, który całując jedną i drugą, uspokajał je tkliwemi i pełnemi rozwagi słowy.

Gospodarz i służba jego robili wszystko, na co tylko gościnny dom kawalerski zdobyć się może, by panie przestraszone i zziębnięte ogrzać i uspokoić. — Obydwie ani na chwilę nie chciały puścić chłopca, który ze zwykłą w wieku tym lekkomyślnością mówił o pożarze, jakby zapomniał już chwili grożącej mu śmiercią w płomieniach. Pan Tadeusz robił nadludzkie wysilenia, by odpowiedzieć godnie obowiązkowi gospodarza, zawezwał do tego nawet pomocy ekonomowej, która tymczasowo spełniała u niego urząd klucznicy i z wysileniem jej starań, znalazło się tyle pościeli, by dwie panie na niewygodnych pomieścić łóżkach. W myśli swej robił młodego chłopca towarzyszem swego po drugiej stronie domu noclegu. — Przy herbacie dopiero Tadeusz mógł przypatrzyć się cokolwiek niespodziewanym swym gościom. Starsza pani mogła mieć lat pięćdziesiąt kilka, twarz tej nosiła wyraz nadzwyczaj miły i uprzejmy, włosy w pół już prawie siwe, harmoniowały z ciemnemi oczyma, które dziś straciły blask, skutkiem zapewne więcej obficie wylanych łez, jak lat przebytych; postać jej była prosta jeszcze, a całe zachowanie nosiło owe ślady nigdy nie zatartego dobrego wychowania i krzepiącej się, pogodnej rezygnacji. Kobieta młodsza stanowiła najzupełniejszy z nią kontrast, była wysoka i jasna blondynka, od której połysku złotych włosów dziwnie odbijały czarne, duże oczy — jako też tego samego koloru brwi gęste i długie rzęsy; — mogła mieć najwięcej lat 40 i miała wszelkie warunki piękności, gdyby nie coś nienaturalnego i jakby zapożyczonego; a nieumiejętnie sobie przyswojonego; mówiła bardzo mało, głos miała nadzwyczaj miły, ale wyrazy brzmiały nie naszym akcentem; całe zachowanie jej było jakby na pół dumne, na pół bojaźliwe i nieśmiałe; było w niej coś, co odpychało i nie dawało widzieć nawet jej prawdziwych wdzięków dotąd niezatartych. Młody chłopiec także zdawał się szczególnem zjawiskiem, mógł mieć lat 15 najwięcej 16, był śliczny jakąś zagadkową pięknością, miał czarne brwi i rzęsy matki i oczy jej wielkie i czarne, ale z wyrazem dzikim prawie, które same jedne mówiły o odwadze i uporze jego, rysy twarzy miały ujmujący wdzięk babki, usta tylko karminowe, których spodnia warga była cokolwiek wydęta, świadczyły o dumie i energji; płeć śliczną lecz smagłą barwił puszek pierwszej młodości, która zaledwie z pieluch dziecięcych wyziera na świat; krucze włosy, kręte z natury, wiły się w pierścieniach po całej głowie i do wpół osłaniały czoło gładkie i wyniosłe, rączki miał dziecinne i białe, szyję jakby utoczoną, a każde poruszenie wdzięczne i pełne uroku.

— Ręka mnie boli — rzekł głosem miękkim i jak śpiew melodyjnym — czuję nawet że spuchła.

— Moje dziecko drogie — zawołała babka — boli cię i nic dotąd nie mówiłeś!

Kobieta o złotych włosach nachyliła się ku niemu, a wyraz przestrachu zmienił jej rysy.

— Która ręka? — zapytała.

— Lewa! — odrzekł chłopiec — ale to przejdzie, nie musiałem ją jak tylko słuc mocno, zimna woda pomoże.

— Niech panie raczą spocząć choć na chwilkę, noc ma się ku schyłkowi, a panie gwałtownie potrzebujecie spoczynku — odezwał się Tadeusz. — Zechcecie panie łaskawie przebaczyć wszystkie niedogodności, na jakie was naraża dom nieurządzony kawalera i przyjmcie najlepsze chęci moje, które na prędce w czyn się zmienić nie mogą.

— Tak jesteśmy dziś przygnębione pod wrażeniem wypadku, który nas nawiedził, że ani ja, ani moja synowa, nie możemy zdobyć się na słowa, by choć w części wyrazić ci panie wdzięczność naszą — odrzekła starsza kobieta podawszy mu rękę. — Nie znasz nas pan zupełnie, a tak prawdziwie po sąsiedzku postąpiłeś z nami. Jutro poznamy się lepiej, a dziś dziękujemy tylko. — Młodsza kobieta podała mu również w milczeniu rękę, a młody chłopiec powiedział:

— Byłbym się udusił w tych przeklętych płomieniach, gdyby nie twoja pomoc panie sąsiedzie. Babka moja i matka byłyby musiały przyjąć schronienie w której z dymnych chat wieśniaczych, gdyby nie ty, więc wdzięczne podzięki przyjm i z mej strony — i w dwóch swych małych rękach ścisnął męzką dłoń pana Tadeusza.

— Spełniłem tylko w części obowiązek sąsiedzki — odrzekł Tadeusz — jest to rzecz tak naturalna, że krzywdą by dla mnie było przecenienie tegoż. Zostaje mi teraz prośba do pań o łaskawe szukanie chwilowego snu i odpoczynku, a ty młody mój przyjacielu, zechcesz podzielić ze mną kilkogodzinny nocleg — i podał mu rękę, by z nim razem wyjść do przygotowanego dla nich pokoju, ale chłopiec szybkim ruchem odskoczył od niego i zmierzywszy go dumnem spojrzeniem zawołał:

— Ja z panem?

Babka i matka stanęły przy nim i naraz obydwie jakby z wyrzutem krzyknęły:

— Widzisz Loniu!... — On jednak przerwał ich monolog uściskiem, w którym obydwie połączył i szepnął jakieś słowa, po których zaśmiał się tak głośnym i tak serdecznym śmiechem, że wśród tego wybuchu wesołości nagłej padł w fotel a potem: „Dobra-

noc panu, dobranoc! — zawołał — ja już tu zostanę przy matce i babce, pomieścimy się.

Nadaremne były przedstawienia pana Tadeusza, że mu tu będzie niewygodnie. Chłopak śmiał się ciągle, kręcił głową i obstawał przy swojem, zamykając kobietom usta pocałunkiem, jeżeli która z nich chciała się odezwać. Tadeusz nareszcie chcąc uwolnić panie od swej przytomności i czując się sam mocno zmęczonym, pożegnał je i wyszedł.

Po jego odejściu chłopiec długo byłby się śmiał jeszcze, gdyby starsza kobieta nie przerwała śmiechu jego mówiąc:

— Widzisz Loniu do czego doprowadzić mogą podobne twoim dziwactwa, i na co naraziłaś siebie i nas twojem przebraniem?

— Ależ moja babciu, moja serdeczna babciu, wszakże ta cudowna zabawka sama mi do nóg się ściele, ani pomyślałam, że moje, jak nazywacie szaleństwo, takie złote owoce mi przyniesie! — odrzekł wesoło chłopiec, rozbierając się i pokazując kobietom rękę krągłą i białą, która w ramieniu opuchła i nosiła ślady stłuczenia; umaczano ręcznik w zimną wodę i owiązano mu ją; był widać bardzo wytrwały, gdyż ani się skrzywił przy tej operacji. Kobieta o złotych włosach, położyła go w łóżku dla niej przygotowanem, sama zabierając miejsce na niewygodnej sofce, — rozmowę prowadzoną wśród tych trzech osób, powtarzać nie będziemy, chowając na później rozwiązanie tej zagadki, a teraz zapoznajmy się bliżej z gościnnym gospodarzem domu.

Pan Tadeusz Ilski miał lat 32, był pięknym mężczyzną o wyniosłej i smukłej postawie, ciemnych, dużych oczach i włosach koloru pośredniego pomiędzy jasnemi a czarnemi, rysy twarzy regularnej i miłe zdobił ciemny wąsik, a brak zarostu robił go młodszym, jak był w istocie. Był on synem bogatych rodziców, ojciec jednak zmarł już dawno. Zostało po nim dwóch synów, on i młodszy od niego Romuald, który mając lat 16, kąpiąc się, utonął w falach Dniestru. Matka, która zawsze jawną różnicę robiła w przywiązaniu swojem do synów, przenosząc młodszego, po śmierci tegoż najprzód oddała się wybuchom żalu i rozpaczy graniczącej z szaleństwem, później zdziwaczała zupełnie, nareszcie po długich staraniach za różnemi protekcjami wyrobiła sobie miejsce w jednym z klasztorów o ostrych regułach i tam zamknęła się na zawsze, własny swój posag kilkunasto tysięczny tam wnosząc, krzywdząc dwukrotnie syna, którego w ten sposób ogałacała z majątku i przywiązania macierzyńskiego.

Tadeusz chowany bez tej czułej opieki, którą rodzice otaczają syna, puszczany od młodzieńczego wieku samopas, zamiast gangreny z życia, jak zwykle w takim razie się dzieje, wyssał przeciwnie zniechęcenie i gatunek trwogi przed niem, bał się nawet skosztować tego nektaru, który zdawało mu się nie upoi go rozkosznie, ale odrazu zabije, trzymał się więc zawsze od życia na uboczu, biorąc z niego tyle tylko, ile skąpiec w sknerstwie swem udzielić może. Majątek ojca jego, złożony w papierach, procentował się znakomicie, tak iż Tadeusz mógł się utrzymać bardzo przyzwoicie bez naruszenia kapitału, oddał się pracom literackim, odstrychnął się prawie zupełnie od gwarnych towarzystw, potrzebował więc bardzo nie wiele, gdyż pragnienie swe ograniczał do bardzo małych rozmiarów. Przeszły najpiękniejsze lata jego młodości bez burz i uniesień, nie znał prawie kobiet, a przynajmniej sercem nie zbliżył się do żadnej, nie pokochał żadnej. Przyszła wreszcie chwila, w której serce jego zaczęło upominać się także o swoje prawa, manifestując się jakąś niezgłębioną tęsknotą. W wieku, w którym inni kończą już z uczuciem, roztrwoniwszy je bezlitośnie, Tadeusz zaczął uczuwać dopiero potrzebę przyswojenia go sobie. Książki naukowe przestały go zajmować, zaczął połykać literaturę lekką, uczuciową, rzucił się do romansów francuskich i pił z nich spragnionemi usty rozkosze wybujałych, namiętnych uniesień. Wtedy uczuł dziwną czczość w życiu. Oglądnął się, miał lat przeszło 30, a ani jednego wspomnienia szczęścia, na któremby się zechciał rozkoszną myślą zatrzymać.

Nie znał prawie kobiet, a te, które znał, nie nęciły go niczem do siebie. Czuł, że kobieta, którą pokocha, musi mieć jakieś inne warunki, któreby go łańcuchem silniejszym przykuły do niej. Co to było, czego żądał? sam nie wiedział, ale chodząc po swoim pokoju, tłukł się po nim jak ptak więziony w klatce — wyszedłszy na ulicę lub przechadzkę, śledził wzrokiem każdą młodą, ładną kobietę i po przejściu jej mówił do siebie:

— To nie ta. — Ten i ów ze znajomych jego miał narzeczonę lub kochankę. On widywał ich razem szczęśliwych i kochających i znowu pytał się: — Dlaczego on ją kocha i jaką jest ta kobieta, którą bym ja pokochał? gdzie ona jest? — pytał z rozdrażnieniem. Godzinami wpatrywał się w martwe portrety pięknych kobiet, stawał na drodze przechodzących słynnych piękności i znowu powtarzał: — To nie ta. Wśród wewnętrznego podobnego ustroju, wrócił raz z długiej i samotnej przechadzki do domu; wieczór był śliczny, majowy, jasny. Gwiazdy niezliczonemi oczkami zaglądały w jasną twarz księżyca, którego blask gasił światło lamp rzęsiście oświecających gwarną ulicę. Otworzył okno i stanąwszy w niem, puścił wzrok w daleką przestrzeń, a za nim myśl wybiegła i otworzyła podwoje tęsknym i smutnym dumaniom. W tem do ucha jego doleciała jakaś piosenka; wychylił się z okna i ciekawie spojrzał w ulicę, szukając istoty, z którejby piersi mogła wypłynąć cicha ta melodja. Ulica jednak była prawie w tej chwili pusta, a ci, którzy w przechodzie ją mijali, nie mogli przecież podobnie spiewać. Piosnka nie kończyła się jednak i płynęła gdzieś z jednej i to z bliskiej strony. Oczy Tadeusza z okna pierwszego piętra, padły na okno dolne domku naprzeciw i zatrzymały się w niem długo, długo, dłużej jak dotąd

na czemkolwiek w całem swojem życiu. Nieraz stojąc w oknie i patrząc bezmyślnie przed siebie, patrzył i w to okno i widział tam zawsze albo kilka rumianych twarzy uczących się studentów, lub szerokie a uczciwe lica nie młodej ich gosposi. Teraz okno tam było także otwarte, pod oknem widzieć mógł stoliczek, przy którym siedziała młoda kobieta i robiąc jakąś ręczną robotę, śpiewała, co chwila nachylając się do jakiegoś przedmiotu, którego widzieć nie mógł. Trwało to długo, pół godziny może, potem usłyszał jakby kwilenie dziecka. Młoda kobieta szybko powstała, za krótką chwilkę stanęła w oknie, tuląc do siebie małą w powiciu dziecinę i całując je z miłością. I znowu długa chwila tak upłynęła, młoda kobieta zwracała spojrzenie z gwieździstych obłoków na dziecię, cisnąc je w objęciu, jakby obawiając się, by jej go kto nie porwał. Tadeusz patrzył na kobietę, śledził ją bez świadomości własnej prawie; aż do chwili, w której zamknęła okno i zasunęła je muślinem białej firanki. Dawno już nic widzieć nie było można, a on jeszcze stał i patrzył; długo nie mógł zasnąć, a w nocy śnił o kobiecie oświetlonej blaskiem księżyca, tulącej do piersi małe dziecię.

Od tego wieczora godziny całe spędzał przy oknie i tym sposobem wtajemniczył się niejako w życie młodej nieznajomej.

Przedzieloną była od niego wąską tylko ulicą, a ani domyślając się, że ktoś zwraca na nią uwagę, nie chroniła się zupełnie przed jego wzrokiem. Mogła mieć lat najwięcej 19 i była piękną jak marzenie poety. Bardzo wysoka i szczupła, za każdym krokiem prawie chwiała się jak wyniosła palma wiatrem kołysana, twarz rysów owalnych, klasycznych pięknością, miała płeć śnieżnej białości atłasu i ową bladość matową, która jest w pierwszej młodości zwykle znamieniem przebytych cierpień. Włosy długie, faliste, popielate, w długich warkoczach okrążały głowę, a ścięte krótko na przodzie, do pół osłaniały marmurowe czoło, tworząc na niem linie i arabeski. Oczy wyrazu anielskiego zdawały się zapożyczać barwy od błękitu nieba, a całość wdzięków młodej kobiety tworzyła wyśniony ideał artysty.

Tadeusz miał wiele poczucia piękna w swych piersiach, przytem kobieta ta stanęła na drodze jego życia, chwili nienasyconych a rozpierających pierś jego pragnień, nieznanej mu dotąd miłości, łatwo więc pojąć, że nie przemówiwszy do niej jeszcze ani słowa, nie wiedząc zupełnie kto ona jest, szczęśliwym był jednak jak nigdy w życiu, oddając się cały tylko jej widokowi. Musiała być ubogą, bo obywała się bez żadnej usługi, sama wybiegając wtedy do miasta, gdy dziecię ululała piosnką i pocałunkami, i złożyła w kolebce. Wracała zwykle bardzo szybko, przynosząc bardzo małe prowianty, które sama sporządzała. Wieczór, gdy ulica już się wyludniła, zarzucała chusteczkę na głowę i z dzbankiem biegła po wodę do niedalekiej studni. Czas cały poświęcała rysowaniu, które w większych i małych rozmiarach składała do teki i gdzieś odnosiła co dni kilkanaście. Ubierała zawsze jedną sukienkę czarną, w której jednak miała postawę zaczarowanej księżniczki. Widoczne było ubóstwo, nie można było jednak dostrzedz nędzy, pracowała ciągle, spiewała często, a karmiąc dziecię swem łonem, nie raz łzy padały na jasne jego czoło. Tadeusz bał się dowiadywać kto ona była, by tym sposobem nie spłoszyć uwidnionego swego marzenia, zapierał oddech w piersi, by go nie zdradził, a jednak byłby oddał połowę życia, by bliżej mógł ją poznać.

Raz jednak dziecię musiało być chore, bo kobieta nie zasiadła do pracy, tylko dzień cały trzymała je w ramionach; płakało i młoda matka płakała z niem razem; w wieczór dopiero uspokoiło się tyle, że mogła go złożyć w kolebce, a sama stanęła w otwartem oknie, dla odetchnienia świeżem powietrzem, a utonąwszy w dumaniu, łzy grubemi kroplami całą twarz jej zalały. Tadeusza ścisnęło coś w piersiach i spojrzenie jego w nią wpite, musiało w tej chwili zawrzeć magnetyczną siłą, gdyż kobieta pierwszy raz podniosła oczy do okna pierwszego piątra i przez jedno mgnienie, oczy ich starły się z sobą. Tadeusz odskoczył od okna. Kobieta zapuściła firankę. Od tego dnia jednak, choć firanka częściej bywała zapuszczoną jak przedtem, wzrok z po za niej często wybiegał do okna pierwszego piętra i spotykał się z utkwionem w nią z uwielbieniem spojrzeniem Tadeusza.

Dnia jednego jak zwykle uspione dziecię ułożyła w kolebkę, sama wzięła czarny, krągły kapelusz na głowę, zamknęła tekę i wyszła z nią do miasta. Tadeusz zebrał na tyle odwagi, że wyszedł i w oddaleniu postępował za nią. Weszła do jednego sklepu i oddała kupcowi trudniącemu się sprzedawaniem pięknych rycin. Przeglądnął, podziękował, zapłacił za nie kilka złotych i zamówił nadal jej pracę. Wyszła ze sklepu, a Tadeusz tam wszedłszy, zażądał różnych do pisania przyborów i zaczął przeglądać rozrzucone po ladzie ryciny, pytając czy są do nabycia.

— Tak panie — odrzekł kupiec.

— Czyjaż to ręka rysuje tak zdolnie? — pytał dalej z drżeniem w głosie Tadeusz.

— Są to prace młodej i pięknej nieznajomej; przybyła niedawno z Warszawy i będąc ubogą, znakomitym talentem swoim zarabia na swe utrzymanie — odpowiedział.

— Pan nie wiesz jak się nazywa? — zapytał po chwili Tadeusz.

— Podała swe imię tylko, nazywa się Celina.

— Rysunki jej są piękne, praca i zdolność znakomite, płać jej pan dobrze, bez targu, ja zakupię wszystkie, a te na początek — to mówiąc Tadeusz dał żądaną kwotę i wyszedł.

Od tej chwili Celina nastarczyć nie mogła prac swoich, tyle miała zamówień, a płacono jej za nie tak dobrze, że wkrótce i położenie jej znacznie się polepszyło. Już nie biegała sama po wodę, tylko dzie-

wczyna jej przynosiła, sprawując oraz usługę domową. Już i sukienka nowa, chociaż także czarna, ale świeża i modniejsza, zgrabnie przylgnęła do wiotkiej jej kibici, a mała dziecina codziennie miała to nowe wstążeczki, to kaftaniczek lub zabaweczkę. Młoda kobieta pozwoliła sobie już nawet zbytku kupienia kilku wazonków z kwiatami, z po za których czarująco piękna ukradkiem spozierała w górę, dziwiąc się w duszy uporowi prześladujących ją spojrzeń mężczyzny.

Jednego dnia okno pomimo pogodnej ciszy, pozostało zamknięte, firanka do w pół odsłonięta pozwalała widzieć matkę nieuczesaną nawet, noszącą dziecię silnie płaczące. W nocy lampa nie zgasła, a kobieta zapomniała, że okno nie zasłonięte i Tadeusz mógł widzieć z rozpaczy łamiącą ręce przy kolebce chorego dziecka. Zepewne dziecię miało się coraz gorzej, bo kobieta zrywała się z kolan, chcąc prawdopodobnie biegnąć po lekarza, to znowu wracała od progu, obawiając się zostawić je same. Tadeusz porwał kapelusz i nie namyślając się ani chwili, wybiegł, wstrzymał się chwilę pod oknem i zaglądnął. Kobieta widzieć go nie mogła, bo leżała prawie na kołysce, obejmując ją obydwoma rękoma, i płacząc jękiem boleści.

— Dziecko moje, dziecko najdroższe! — zawołała wreszcie głosem serce rozdzierającym. — Boże mój, zlituj się nademną!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KWIAT TAJEMNICZY.

I.

STRASZNA NOC.

Późna już była godzina.

Na jednej z odległych ulic Paryża, wicher od czasu do czasu zawył przeraźliwie, uderzając deszczem ze śniegiem mięszanym o duże, gotyckie okna domu szarego, okrytego pleśnią wieków kilku, o murach grubych, warownych, jak forteca. Z rzadka odezwały się kroki spieszących przechodniów, lub zaturkotał na tej odludnej ulicy powóz spóźniony. Zresztą głucha cisza te miejsca zalegała, a latarnia u drzwi kamienicy przybita, migotała światłem drżącem i niepewnem.

Na pierwszem piątrze, w komnacie sklepionej i pięknemi sztukaterjami ozdobionej, w niszy osłoniętej, starym francuzkim zwyczajem, kotarą z ciężkiego, ponsowego adamaszku, spoczywała na łóżku wysoko wyścielonem, postać okropnie nędzna i wychudła pani Zuzanny Michaud, wdowy po bardzo majętnym kupcu, i właścicielu prócz tego domu, kilku jeszcze intratnych młynów, w okolicy Paryża.

Pani Michaud zwracała co chwila oczy rozgorączkowane na drzwi do drugiego pokoju prowadzące, to znowu w nadziejach zawiedziona, powodziła wzrokiem błędnym po rozetach sufitu, jakby je pilnie przeliczała, lub jakby ścigała mary, które snuła jej fantazja silną gorączką podsycona.

— Nie ma go! dotąd go niema! — jęknęła boleśnie, szukając na poduszkach miejsca chłodniejszego dla głowy rozpalonej. — Boże! Boże! dla czegoż jeszcze i to, w ostatniej życia chwili! — zerwała się nagle, usiadła, a kaszel gwałtowny, rozdzierający, głos stłumił i oddech zaparł w piersi wyschniętej.

Wreszcie usta gorączką spalone krwią się zafarbowały, biedna suchotnica upadła bezwładna na poduszki, podtrzymywana przez starą, poczciwą sługę Gertrudę, która ze łzą w oku i z czułością niewypowiedzianą, ocierała chorej pot śmiertelny z czoła, i próbowała wlać w usta kilka kropel napoju orzeźwiającego.

— Idź spać — szepnęła — połóż się biedna Gertrudo!... napad już przeszedł.

— Nie mogę przecież pani samej zostawić! — poczciwa sługa łzy otarła nieznacznie fartuszkiem. — Zostanę, póki nasz młody pan nie powróci.

Chora gorzko się uśmiechnęła:

— Czy powróci? Może wtedy, gdy ja już oczy zamknę na wieki... nie pamiętaj mu tego Gertrudo! czuwaj nad nim, pielęgnuj go jakby druga matka. Wszak twoje piersi go wykarmiły. Przysięgnij mi, że go nie opuścisz, a umrę najspokojniejsza!

— Przysięgam ci pani! — rzekła sługa uroczyście. Zuzanna ścisnęła ją za rękę dłonią rozpaloną, a odwracając się do ściany znowu szepnęła:

— Bardzom zmęczona... może zasnę... idź i ty spocznij... proszę cię... A gdy mnie niestanie... ucz go kochać... tych naprzeciwko w dumnym pałacu, z koroną hrabiowską nad tarczą herbową... niech ustanie raz ta rodowa nienawiść... tylko miłość daje zbawienie... nienawiść potępia na wieki...

Sługa na palcach do drugiego pokoju wysunęła się cichaczem.

Za chwilę stary zegar wydzwonił głucho drugą po północy, zdala powóz zaturkotał, wreszcie konie wstrzymały się w biegu przed kamienicą, ktoś lekko na bruk wyskoczył; słychać było śmiechy wesołe, kilka słów pożegnania; głośno i bezwzględnie zadzwoniono, drzwi od kamienicy z hałasem zatrzaśnięto i kroki szybkie, elastyczne dały się słyszeć na schodach.

W przedsionku ozwał się głos Gertrudy strofującej; na to odpowiedział ktoś jękiem głuchym a bolesnym... i znowu cisza w około.

Oczy chorej w jeden punkt utkwione, usta drżą febrycznie, palce skubią bezwiednie białą na kołdrze

powłóczkę. Otwierają się drzwi zwolna, na progu staje syn upragniony. Piękna to i wyniosła postać, pełna siły, młodości i życia. Ciemny, bujny włos okrywa czoło wysokie, inteligentne, oczy duże, szafirowe, patrzą na świat śmiało, prawie wyzywająco, usta purpurowe, ciemnym jak włosy wąsikiem osłonięte, zdają się rozkoszy spragnione, i jakby stworzone do namiętnych pocałunków. Krokiem chwiejnym zbliża się do łóżka, na którem pani Zuzanna leży bez ruchu.

— Matko! matko! — krzyk przeraźliwy wyrywa się z piersi ściśnionej i pada na kolana, kryjąc twarz w stygnące dłonie konającej.

— Gdzieś był Leonsie? — odzywa się szept cichy.

— Grałem matko! — zabrzmiała równie cicha odpowiedź.

— Znowu więc przy zielonym stoliku, zmarnowałeś część życia i część twojej ojcowizny! — i matka odwraca do ściany wyschłe i zmarszczkami przedwczesnemi poorane oblicze, po którem łzy obfite spływają, i stara się wydobyć ręce z pod głowy syna.

— Matko! matko! daruj ten raz jeszcze! — woła syn rozpaczliwie. — Nie odwracaj się odemnie ze wstrętem, niech to nie będzie ostatnie twoje słowo! Nie wszystko stracone; choć głowa szalona, serce u mnie dotąd czyste, gangrena moralna go nie skaziła. Dużom ci sprawiał zmartwienia, wielem stracił czasu i pieniędzy daremnie, ale wierzaj matko, honor mój pozostał nietkniętym. Poprawię się matko, będę pracował podwójnie, nagrodzę czas stracony, wrócę pracą i zapobiegliwością, co puściłem nieopatrznie w szale młodzieńczym. Tylko ty mi daruj matko i błogosław przedsięwzięciu mojemu.

Nie podnosząc się z kolan, wyciągnął do matki ramiona, a objąwszy ją za szyję, szlochał jak dziecko do jej piersi wychudłej przytulony.

Zuzanna wzniosła oczy w górę. Właśnie w tej chwili blady księżyc rozdarł czarne chmur całuny, i na chwilę rozjaśnił widnokrąg: drżące dłonie oparła na głowie syna, i mówiła coraz prędzej i coraz ciszej:

— Bóg niech ci dopomaga mój synu! Wytrwaj na drodze cnoty i obowiązków, chociaż mnie nie stanie, chociaż zamilkną na wieki te usta, których łagodnego upominania nigdy słuchać nie chciałeś. Pamiętaj synu, że twoja nieszczęsna do gry namiętność, mnię przedwcześnie grób zgotowała, a ciebie może zepchnąć na dno otchłani, w której hańba i nędza panują. Błogosławię ci synu mój jedyny, błogosławię sercem całem, jeżeli z grą rozbrat weźmiesz na zawsze, ale pamiętaj, że przeklęty ten! kto matki ostatniej woli nie uszanuje i słów jej ostatnich nie uczci! Żegnaj... dziecię... Leonsie... gdzie ręka twoja... ukochany...

Nowy krwi wybuch zatamował głos w piersi, a za chwilę zimne już tylko zwłoki trzymał syn w objęciu i nadaremnie najsłodszemi słowy matkę przyzywał. Serce to wierne, które tyle razy zranił boleśnie, a ono jednak kochało go zawsze z równą siłą i z równem poświęceniem, na wieki bić przestało.

Nazajutrz dużo obiegało komentarzy, w kółku najbliższych znajomych, o końcu pani Zuzanny. Śmierć wprawdzie nie porwała jej nagle, niespodziewanie; powoli skradała się do niej, jednak nie obeszło się bez głuchych wieści, że syn winien jej śmierci, że jego życie lekkomyślne, przedwcześnie matkę ze świata sprzątnęło, kobietę rzadkich cnót, i niesłychanego poświęcenia dla dziecka jedynego, za które tak źle została wynagrodzoną.

W klubie, gdzie zwykle zgrywał się Leons Michaud, dosyć pusto było jakoś nazajutrz. Przy jednym ze stolików, siedziało kilku ze złotej młodzieży, a wypróżnione butelki szampana, świadczyły, iż tu bynajmniej nie próżnowano.

— Słyszałeś Anatol — odezwał się baron d'Aubigny — że stara Michaud umarła? Teraz to dopiero puści się Leons na bystrą wodę. Nie potrzebuje klucza od kasy szukać w mamy kochanej kieszeni, lub wykradać tegoż z pod poduszki. Wszak grał znowu nicpoń z wami wczoraj noc całą? Powiadają, że stara klapła tymczasem i już zastał nieżywą, gdy wrócił do domu. No! oszczędził sobie kazania ostatniego, które bądź jak bądź działa zawsze trochę na nerwy... Ápropos! Dla czegoż brakło cię wczoraj na salonach boskiej Chênois?

— Dlaczego? — ziewnął szeroko żółty jak cytryna i zblazowany młody hrabicz. — Ot! tak dla odmiany. Zresztą, wstyd mi doprawdy, że i ja dałem się uwieść tej czarnookiej Circe, do której rydwanu tryumfalnego, tylu już osłów się zaprzęgło.

— Cóż chcesz *mon cher!* — baron litościwie wzruszył ramionami. — Balet teraz właściwie rządzi światem, i dziwi mnie tylko, że skoro tyle głów ukoronowanych, leży u nóg tych czarodziejek, i słucha pokornie ich kaprysów, nie dadzą na berle złotego trzewiczka baletniczki. Wszak u rydwanu cudownej panny Chênois, stoi na czele książe Ludwik, i jak mówi kronika skandaliczna, miał się grubo zaszłapać, otaczając jej dumne czoło blaskiem brylantów przynajmniej, skoro nie może już zajaśnieć cnoty aureolą.

— Ha! ha! ha! — parsknął śmiechem hrabia Anatol — dobryś z twoją aureolą! I za te wszystkie brylanty, nawet pierwszego miejsca nie uzyskał. Skandal prawdziwy! Księcia krwi usuwa na drugi plan jakiś tam parwenjusz zbogacony, mieszczuch, młynarczuk! Gdyby nie to, że ta djabelska istota, działa na nas jak wizykatorja, i budzi nas po trochę do życia, swojemi minkami, dowcipami, a nawet impertynencjami, już za samego księcia, powinnibyśmy puścić ją w trąbę wszyscy razem. Straszni z nas safanduły panowie! skoro taka jedna baletnica, gra nam bezkarnie po nosie.

I znowu, jako zakończenie przemowy, ziewnął od ucha do ucha.

— Idziesz na ujeżdżalnię? — spytał po chwili barona, wyciągając ręce i nogi, że aż w stawach za-

trzeszczało. — Felo jakąś sławną klacz próbuje. To jeszcze wieśniak *pur sang*, chodźmy zobaczyć, może mu którego z naszych babetów podstawimy. Niewiniątko zamienia się najchętniej.

— Niestety! — westchnął ciężko baron — jestem dziś na służbie.

— U starej kanoniczki d'Aubigny? Szanuj ciocię, szanuj — zachichotał hrabia Anatol. — Ciepła stara panna, jak słyszałem, a u ciebie strasznie wiater dmucha po kieszeniach. A więc! *Au revoir messieurs*!

II.

KSIĄŻĄTKO.

Leons Michaud, mimo iż z mieszczan pochodził, był dziwnie dumny i nieprzystępny. Jak wprzód drwił sobie z uwag złośliwych, bajek niestworzonych i obmowy zjadliwej, całego Quartier, które z jego domem sąsiadowało, tak dziś usunął się zupełnie od objawów zbytniej czułości i owych frazesów oklepanych, któremi ludzie pospolici i ograniczeni, chcą koić wielkie bole, i zabliźniać rany głębokie, a nie rozumieją, iż je tylko więcej zaogniają.

Zaledwie jedna stara Gertruda, zdołała wstęp sobie uprosić, pomogła mu złożyć matki zwłoki na katafalku i pytając o różne szczegóły, tyczące się pogrzebu, potrafiła wyprowadzić go z rozpaczliwej bezwładności, w którą zapadł po zgonie matki. Wszystko odbyło się w cichości, do ostatniej chwili syn na krok prawie zwłok matki nie opuszczał, a gdy już miano trumnę z domu wynosić, z tą, która lat tyle była tutaj prawdziwą opatrznością i pocieszycielką męża, dziecka i domowników, ucałował raz ostatni czoło i ręce matki, a uszczknąwszy kwiat biały, z wieńca na trumnie leżącego, namiętnie go do ust przycisnął.

— Mój talizmanie! Moje świętości! — szepnął w uniesieniu — nigdy się z tobą nie rozłączę! Broń mnie i zasłaniaj, bądź moją tarczą kwiecie biały, przed zgubną, hańbiącą namiętnością! i równie niegodną mnie miłością.

Chciał włożyć kwiat do pularesu, ale tam wszystkie miejsca były zajęte. Na kartkach stały liczb szeregi, pieniędzy w karty przegranych, w przedziałkach były same pamiątki, pięknej Heloizy Chênois. Kwiat granatu, który wypadł z jej ciemnych pukli, wstążeczka od trzewika atłasowego oderwana, piosneczka paląca jak jej czarne oczy, a śpiewana przez nią wśród gradu ognistych pocałunków, gdy ją obejmywał silnem ramieniem. Rumieniec wstydu oblał mu białą twarz szkarłatem, ze wstrętem rzucił w płonący kominek pulares, wraz pamiątkami chwil rozpusty, chwil zapomnienia, niegodnego człowieka honoru.

Idźcie do biurka... tam leży medaljon złoty, niegdyś ręką matki na szyję mu założony, z puklem jej jasnych włosów... Zdjął go był z piersi, bo mu przeszkadzał, wśród orgji z koleżkami wyprawianych. Kładzie kwiat obok włosów, i medaljon na piersi zawiesza. Nie zdejmie go więcej. Gdyby kiedy miał zapomnieć o słowach matki ostatnich, ten talizman zatrzyma go na ślizkiej drodze i do złego nie dopuści.

Istotnie dziwna przemiana w całym ustroju Leonsa nastąpiła. Z chłopca lekkomyślnego, żyjącego z dnia na dzień, stał się w jednej chwili mężem myślącym, głęboko się zastanawiającym i nad wiek poważnym.

O! bo ta chwila postawiła go nad brzegiem grobu, który po raz pierwszy roztwierał się u stóp jego, aby mu przypomnieć, że śmierć, to koniec wszelkich uciech, rozkoszy i namiętności, aby czoło jego, dotąd jasne i bez chmurki, naznaczyć pierwszym zmarszczkiem, tem piętnem trosk i boleści. Nad tą świeżą mogiłą, radby był krwią własną okupić każdą łzę, którą z oka matki wycisnął... już było na to za późno... mógł atoli nagrodzić wszystko teraźniejszem życiem swojem i tak też uczyni.

I znowu dużo było rozprawiania o pięknym, wytwornym Leonsie Michaud. Jedni utrzymywali wzruszając ramionami, że to ogień słomiany ta cała jego sztuczna gorliwość, że wkrótce powróci do życia dawnego, pomiędzy klubem a kulisami przepędzanego. *Damy z demi-mondu*, chichotały szepcąc jedna drugiej do ucha, że owo dumne *książątko* (tak zawsze Leonsa w tych sferach nazywano) sam jeździ do młynów, worki z mąką rachuje i wydaje.

— Ha! — mówili najpoczciwsi — może się i poprawi. Straszną dostał naukę! Prosto od zielonego stolika, z wesołego baliku, przejść do łoża matki konającej!

Leons, tymczasem, nie troszcząc się znowu bynajmniej, czy go ludzie chwalą, czy ganią, szedł dalej wytrwale drogą pracy i obowiązków. Z dawnymi koleżkami zerwał wszelkie stosunki, kart więcej się nie dotknął, u pięknej Heloizy noga jego nie postała.

W młynach, stanowiących główną jego intratę, panował bezład chaotyczny. Zarządca główny pokazał się człowiekiem złej wiary i bardzo podejrzanej uczciwości. Skoro Leons rzucił bacznem okiem naokoło, zajrzał do ksiąg rachunkowych, do magazynów zboża, wszędzie czegoś brakło, coś było niezapisane; niedbałość i nieudolność, a nawet oszukaństwo na wielką skalę, wyłaziło zewsząd jak szydło z worka.

Gdy pan zarządca przekonał się, że Leons nie na żarty myśli wglądać we wszystko, próbował nadrabiać miną zuchwałą i uwagami grubjańskiemi: „że młode jak Leons paniątko, na takich rzeczach nic a nic się nie rozumie, a on na tem zęby zjadł, więc pewnie lepiej młyny prowadzić potrafi.“ — Na to Leons z całą dumą pana i właściciela odpowiedział: „Iż na tyle ma rozumu, żeby widzieć, jak wszędzie korzystano ze słabości matki, i z jego niewglądania przez dłuższy czas w sprawy domowe. Że odtąd on sam będzie wszystkiego pilnował, a komu by to się nie podobało, jest każdej chwili wolny od obowiązku.“

Na to energiczne przemówienie szmer złowrogi powstał między parobkami, których od dni kilku obrabiał i buntował zarządca.

— Dobrze! — zaśmiał się tenże ironicznie. — Pójdziemy więc wszyscy. Za mną chłopcy! W sąsiedztwie, w garbarni, wszyscy miejsce znajdziemy!

— Garbarnia wczoraj kredę ogłosiła. Właśnie sąd wezwał mnie, abym jako sąsiad najbliższy, zajął się fabryką tymczasowo, aby nie stanęła; później myślę ją nabyć na licytacji.

Wyjął papier ostemplowany z kieszeni i podał najbliższemu:

— I ty Nikol przeciw mnie? — rzekł z wyrzutem do młodego, przystojnego chłopca, który papier miał czytać — a matka moja, taką była twoją dobrodziejką!

Nikol spuścił w dół oczy.

— Namówili mię panie! — bąknął nie śmiało — ale ja z tobą zostanę, chybabyś mnie pan gwałtem wypędził.

— I my, i my! — głosy zewsząd się odzywały — zostajemy wszyscy! To ten łotr, ten złodziej nas garbiarnią bałamucił, a teraz bez chleba chce zostawić!

Coraz ciaśniejszem kołem, z pięściami groźnie zaciśniętemi, otaczali zarządcę, który blady i wystraszony, cofał się, póki nie znalazł się tuż nad młyńskiemi kołami, cieńką tylko balustradą od nich oddzielony. Objął niebezpieczeństwo Leons jednym rzutem oka, i pospieszył na pomoc zagrożonemu:

— Tym razem wszystkim przebaczam, ale odtąd żądam karności i posłuszeństwa! — krzyknął energicznie. — Pan jeden wynoś się natychmiast! — zwrócił się do rządcy. — Przez wzgląd na twoją żonę i dzieci, nie oddaję cię w ręce sprawiedliwości, na coś wielce zasłużył, jako człowiek bez czci i wiary. Ty Nikol, wiem żeś piśmienny, i w zawodzie młynarskim od dziecka wyćwiczony. Ciebie zarządcą mianuję, ale pamiętaj, że odtąd moje własne oko nad wszystkiem czuwać będzie, i najlżejszego nadużycia nie przepuści bezkarnie!

— Tobie chcę panie służyć do śmierci! — zawołał Nikol uszczęśliwiony — i pewnie na mnie się nie zawiedziesz!

— I my wszyscy będziemy służyć wiernie i uczciwie naszemu panu dobremu i sprawiedliwemu! — krzyknęli chórem parobcy.

Rządca blady i drżący, kipiąc złością odtąd bezwładną, wymknął się niespostrzeżenie.

III.

HELOIZA.

Story z ponsowej materji, były ściśle zapuszczone. Słońce jaskrawe przekradało się jednak przez szczeliny i przesiewało przez materję gorące promienie, rzucając blaski purpurowe na posągi alabastrowe w kątach poustawiane, na białe meble atłasowe, w bukiety róż haftowane, i na inne tysiączne cacka, któremi salonik tancerki był przepełniony.

Ślizgała się ona dotąd po życia powierzchni, równie lekko, jak i po deskach teatralnych. Co roku, pokłóciwszy się z dyrekcją, wylatywała za granicę, a pobywszy tam kilka miesięcy, chociaż nigdzie jej nie brakło tryumfów i licznych wielbicieli, prawdziwe dziecię bruku paryskiego, wracała wiernie do owego serca Francji, a można śmiało powiedzieć, do stolicy całego świata cywilizowanego. Najświetniejsze propozycje nie były zdolne na długo zatrzymać tego istnego motyla, którego hasłem była zmiana, a naturą niestałość.

I ona wreszcie trafiła na mistrza swego, i to serce płoche pierwszy raz w życiu pokochało prawdziwie, z całą namiętnością płomienną natury dzikiej i niepohamowanej.

Leons szalał wprawdzie z nią razem, odurzał się jej miłością, niby winem szampańskiem, zawsze jednak zachowywał w obec niej pewną dumę pana w stosunku z niewolnicą, i tem właśnie przywiązał do siebie tę istotę, igrającą dotąd z sercami na wzór dziecka, które piłki podrzuca czas jakiś, a wreszcie w kąt ciska, i na wieczne zapomnienie skazuje. Ileż ona serc podeptała, ile majątków połknęła, z uśmiechem drwiącym na ustach purpurowych, ze słowem sarkazmu jadowitego, dając odprawę licznym adoratorom. A dziś jak pielgrzym wśród puszczy piaszczystej zbłąkany, łaknie kropli wody, tak ona wygląda, chociażby jednego słowa od ukochanego, a tyle już dni zawodzi ją nadzieja!

W kłębek zwinięta, niby lśniąca gadzina, gdy w mchu na słońcu się wygrzewa, wcisnęła się w róg miękkiej kanapki; końcem nóżki, w złocistym pantofelku, który z pewnością na sławnego Kopciuszka byłby się okazał za małym, obdrapując nielitościwie złocenia, na misternie pokręconym spodzie od gierydonu, przed kanapką stojącego. Niecierpliwą dłonią przewraca kartki najnowszego romansu francuzkiego, wreszcie rzuca go ze złością w kląb azalji kwitnących. Kielichy różnokolorowe na ziemię się posypały, a prześliczny *King-Charle*, maleńki jak rękawiczka, skoczył przestraszony z ponsowej, aksamitnej poduszki, na której błogo usypiał, głośno wyjąc i naszczekując.

Zerwała się i Heloiza na równe nogi, gniewnie usta zagryzając, i mierząc salon wszersz i wzdłuż niecierpliwie. Elegancki ranny *pegnioar*, różowy, atłasowy, cały białym tiulem i koronkami okryty, długą powłoką zamiatał miękki dywan, również jak meble, cały różami zasiany. Wreszcie zbliżyła się do biurka, pełnego cacek najrozmaitszych i stanęła nad niem głęboko zadumana.

— Jeżeli dziś jeszcze nie przyjdzie to dumne książątko — mruknęła z cicha — napiszę do niego. I mnież to przyszło żebrać o miłość! walczyć o lepsze z wspomnieniem, starej, umarłej kobiety! Ja, pani wszechwładna, która książąt krwi widuję u nóg moich, błagających o uśmiech, o jedno słówko łaskawsze, dziś upokarzam moją dumę, i przed kim? przed nędznym młynarzykiem! który woli worki w młynie rachować, niż ze mną pędzić chwile rozkoszne! Dla czegoż właśnie jego musiałam pokochać, jego jednego wybrać wśród tysiąca?!

Portjera u drzwi zafalowała, tancerka serce gwałtownie bijące ręką przycisnęła, a wtem na progu, wśród ciężkich fałdów ponsowego aksamitu, ukazała

się żółtawa jak len główka jej pokojówki, z prześlicznym bukietem w prawej dłoni:

— Proszę pani... — zaczęła, ale nie dała jej dokończyć Heloiza, bo:

— Od kogo? — krzyknąwszy, bez tchu na bukiet się rzuciła.

— Hrabia Anatol dowiadywał się najtroskliwiej o zdrowie pani, i czy?...

— Cicho! — tupnęła nóżką energicznie piękna tancerka, cisnąwszy bukietem o ziemię. — Jestem chora... mam migrenę... nie ma mnie w domu dla każdego, rozumiesz? Chybaby...

— Chybaby — dokończyła z domyślnym uśmiechem sprytna subretka — zjawił się pan Leons Michaud, którego dawno już jakoś nie było...

— Żadnych uwag mościa panno! — krzyknęła gniewnie tancerka, bo natychmiast cię wypędzę. Potrzebuję sługi, a nie dowcipnisi podpatrującej i krytykującej. Życzę ci o tem nie zapominać!

Palcem drzwi jej wskazała.

— Czekaj! — uderzyła się ręką w czoło. Szybko rzuciła kilka słów na różowy, pachnący bilecik, włożyła do koperty, zapieczętowała czułą jakąś dewizą, i podała Żanecie u progu czekającej:

— Poszukasz posłańca — rzekła rozkazująco — i każesz odnieść list podług adresu. Tylko proszę natychmiast zlecenie wykonać.

Leons stał właśnie w bramie dziedzińca, i notował w pularesie wozy ze zbożem, które po bruku jeden za drugim głośno turkotały, gdy mu wręczono bilet Heloizy. Spojrzał na adres, krew mu gorącą falą do głowy uderzyła, schował jednak list w boczną kieszonkę z całą powagą i rzekł posłańcowi głosem spokojnym:

— Możesz odejść. Odpowiedzi nie będzie.

— Nikol! — zawołał głośno. — Te wozy wyładować wprost do magazynu po lewej ręce. Ileż dotąd centnarów złożyłeś na strychu?

— Sto sześćdziesiąt i trzy proszę pana, — odezwał się zapytany przez otwór w dachu.

Nikol zeszedł na dół zamknąwszy zboże, a pan Michaud stał zadumany w bramie dziedzińcowej, powodząc okiem z pewnem zadowoleniem i dumą po młynie i budynkach, w czworobok dziedziniec otaczających. W tych kilku tygodniach, ile on tu zdziałał dobrego, pilnością, doglądaniem, a dawniej marnował lata całe, w rozpuście i próżniactwie. Wstrząsnął się ze wstrętem na to wspomnienie, i jak błyskawica mignęła mu przed oczyma duszy postać zwodnicza, a pełna uroku, tej kobiety, która tak fatalny wpływ na niego wywierała, która taką niegodną namiętnością przykuwała go do siebie, która niby świetna libella, mieniąca się we wszystkie kolory tęczy w słońca promieniach, i muskająca skrzydełkiem wód źwierciadło, umiała przybierać pozy najrozmaitsze, okazywać czułość kłamaną, miała łzy i śmiech na zawołanie, nęciła go i odurzała, czczość i niesmak w głębi duszy zostawiając.

Z pogardliwym uśmiechem wyjął bilet z kieszonki, ostrożnie i zdaleka trzymając go od siebie, jakby był głoskami ognistemi pisany, i bał się, aby mu palców nie popiekł. A niedawno temu, byłby go taki bilecik uszczęśliwił, byłby go chciał nieledwie w ramki złote oprawić.

„Leonsie! — brzmiały słowa bileciku — tygodnie mijają, a ciebie niema i niema! Tyranie niegodziwy! chceszże, abym się na śmierć stęskniła za tobą! Tacy to wy wszyscy. Skoro wiecie, że jesteście szczerze kochani, droczycie się z nami i odtrącacie nieledwie. Szanowałam boleść twoją po stracie matki, ależ i żyjącym coś się należy. Mówią, żeś raptem stał się nietylko straszliwie cnotliwym, ale nawet, aż do śmieszności pracowitym i zapobiegliwym. Masz sam w młynie worki rachować. *Horreur!* Piękny, dumny Leons młynarzem! Jeżeli już nie przez miłość dla mnie, to przez miłość własną, która u panów bywa uczuciem najsilniejszem, daj pokój temu zajęciu; pamiętaj o naszem przysłowiu, *qu'un ridicule, est pire qu'un vice*, i że książątku (jak cię nazywamy) lepiej przystoją przywary prawdziwego *Dżentelmena*, niż cnoty mieszczucha.

„Przybywaj do twojej wiernej Heloizy z uśmiechem na ustach. Czekam cię najdroższy z otwartemi ramionami, z sercem bijącem jedynie dla ciebie, ty szkaradny niewdzięczniku! Trzebaż ci było aż tego wyznania, żeby ci przypomnieć, że istnieję na świecie!

„Twoja Heloiza.“

Ponuro patrzał przed siebie, mnąc papier w dłoni gniewnie zaciśniętej. I on mógł dać prawo tej kobiecie, odzywać się do niego w tym tonie poufałym, wydrwiwać jego uczciwe zamiary! I on kochał tę kobietę, w której wszystko jest fałszem, wszystko niecną obłudą! Wyprostował się dumnie i z szyderczym uśmiechem darł powoli bilecik na kawałki, rzucając je na wodne kaskady, z szumem na koła spadające. Wzrokiem zimnym i obojętnym, patrzał jak różowe świstki tańcowały czas jakiś po falach spienionych, póki się pod koła młyńskie nie dostały.

Przycisnął medaljon do ust z czcią najwyższą:

— Tak matko droga — szepnął — pamięć o tobie pochłonęła i spłukała z duszy mojej męty i złe namiętności. Pojadę raz jeszcze do tej *Syreny* niebezpiecznej, aby ją przekonać, iż więcej niema mocy nademną, bo serce moje silne i zdolne oprzeć się wszelkim pokusom, póki pierś osłania talizman niegdyś ręką twoją zawieszony.

Poszedł ku stajniom.

— *Jacque*! — krzyknął na walnego chłopaka, który pędem wybiegł ze środka budynku — mój *breack* w porządku?

— W tej chwili będzie panie! — odrzekł zapytany, wyciągając z remizy, leciutką i elegancką amerykankę, w której Leons zwykł był sam się powozić.

Skoro para jego złotych gniadoszów stała zaprzężona, pogłaskał po szyjce wysmukłej swoje arabczyki, wskoczył lekko na kozioł, a właściwie na siedzenie z przodu, a rzuciwszy swojemu nowemu zarządcy ostatnie dyspozycje, cmoknął tylko na rumaki, które już niecierpliwie ziemię grzebały, a te ruszyły z miejsca jak chmury wichrem po niebie pędzone, wśród tumanów kurzu unosząc go ku Paryżowi. (C. d. n.)

Zapytanie.

NAJNOWSZA SIELANKA EBERSA.

(Ciąg dalszy.)

— Gdyby tylko głupcy nie byli wiecznie z siebie i ze wszystkiego tacy zadowoleni! Zresztą ranek dzisiejszy powinien mi się podobać, ponieważ ojciec twój, tak wspaniale mnię obdarował; w ogóle rozpaczać nie potrzebuję nigdy prawie; ja i moje kury, zarobimy sobie na jakie takie wyżywienie, a przynajmniej nie potrzebuję dbać o niczyją łaskę, lub bać się czyjej niełaski. Z moim wózkiem, jadę tam tylko, gdzie nam radzi i gdzie mi się podoba.

— Powinienbyś zatem raczej Bogom dziękować, niż narzekać na ich niesprawiedliwość.

— O nie! gdyż brak wielkich cierpień, nie można jeszcze szczęściem nazwać.

— A ty Leonaxa, masz za zupełnie szczęśliwego?

— Dotąd zdaje się nim być. Zmienna Bogini, zostanie mu może dłużej wierną, niż innym, gdyż czynnym jest od świtu do nocy. Przynajmniej nie wpadnie w tę jedną przepaść, którą los zwykł gotować śmiertelnikom.

— A tą jest?

— Znudzenie i przesyt. Tysiące gorsi bywają, a mało jest lepszych od twojego krewniaka; ta z dziewic, którą na żonę wybierze, może cieszyć się szczerze.

Xantha zarumieniła się na te słowa, w lot podchwycił to karzeł, i spytał domyślnie:

— Leonax stara się o swoją krewniaczkę?

— Może...

— Ale krewniaczka ma już innego w sercu i w myśli?

— Kto ci to powiedział?

— Moje kury.

— To pozdrów je odemnie! — zawołała Xantha, i uciekła czem prędzej od kuglarza, biegnąc wązką ścieżeczką, prosto do morza.

Tu, gdzie znowu ścieżka z drogą murowaną się stykała, która aby górę wyminąć, wielkie koło zataczała, stał pomnik dziwnej budowy, i przed nim Xantha w biegu się wstrzymała.

Pochwały, których kuglarz nie szczędził Leonaxowi, wcale jej przyjemności nie sprawiły, wolałaby była usłyszeć raczej słowa nagany o konkurencie z Messeny, gdyż jeżeli był podobny do obrazu, skreślonego przez karła, to był on istotnie mężem, w całem tego słowa znaczeniu, mogącym zastąpić miejsce syna jej ojcu, i godnym zostać panem na ich majątku, gdzie niejedno nie tak szło, jakby iść było powinno; a więc trzeba starać się zapomnieć o wiarołomcy, niepoprawnym marzycielu, hulającym po nocach Phaonie — gdybyż ona tylko to potrafiła!

Każde posiadanie, wtedy wydaje nam się najpożądańszem, gdy przedmiot na zawsze mamy utracić, i Xantha w całem swojem życiu nie myślała może o Phaonie tak czule, i z taką tęsknotą, jak właśnie w obecnej chwili.

Pomnik, o którym wspomnieliśmy, a przed którym stanęła, był z cegieł murowany, pomiędzy ich i Protarcha ogrodami. Wijące się rośliny, zewsząd w zielone festony go stroiły.

W murze widziało się kilka rzędów framug z daszkiem okrągłym; na słupach zaś były piękne, alegoryczne obrazy malowane: na jednym Geniusz śmierci, gaszący pochodnię życia, na drugim Orpheusz, który uwalnia małżonkę swoją z ciemności Erebu i wprowadza uwolnioną, tam gdzie wieczne światło panuje.

Wiele z tych framug były dotąd próżne, w niektórych atoli stały urny z alabastru przeźroczystego.

Najnowsze, które stały najniżej, zamykały w sobie popioły dziadka jej Dionyzusa i jego małżonki, a inne znowu, dwie matki młodo zmarłe, jej własną i matkę Phaona.

Obiedwie kobiety padły ofiarą dżumy, która po raz pierwszy od czasów niepamiętnych, brzegi te urocze była nawiedziła.

Stało się to przed ośmiu laty.

Ona sama jeszcze się wtedy do dzieci liczyła, Phaon atoli był już wyrostkiem.

Po dziesięć razy przez dzień tędy przechodziła zawsze pomyślała o drogich zmarłych, a z często i pozdrowienia ciche im posyłała, aby niejako pamięć swoją uwidocznić.

Nie zawsze jednak tak żywo jak dzisiaj, odźwierciadlał się w jej duszy obraz ponury stosu zapalonego, zgliszczy dymiących i wreszcie zebranych do urn popiołów z dwóch matek pozostałych, które śmierć nielitościwa, tak wcześnie z objęć kochających je istot wydarła. Przypominała sobie, jak stała o słup oparta, gorzko płacząc i pytając się bez ustanku, czy to być może, żeby matka już nigdy do niej nie wróciła, aby ją ucałować, słodkiemi słowy upieścić, włosy jej utrefić, a choćby postrofować ją, gdy na to zasłuży. Pierwszy raz w życiu, tęskno jej się zrobiło, nawet za matki ręką karcącą, byle ją zobaczyć.

Phaon stał w tej samej chwili o drugi słup oparty, prawą dłonią oczy sobie zasłaniając.

Tak smutnym, ani przed tem, ani po tem nigdy więcej go nie widziała i serce jej się krwawiło, gdy spostrzegła jak drży cały, niby we febrze i jak jest blady śmiertelnie, gdy wreszcie odgarnął z twarzy i czoła, długie, czarne kędziory, które jak gęsta firanka, całe oblicze mu zakrywały.

Ona przynajmniej rzewnie płakała, on jednej łzy nie uronił.

Ledwie słów kilka zamienili wtedy z sobą, a każde

z nich brzmiało dotąd w jej sercu, jakby zaledwie tyle godzin, ile lat minęło.

— Moja była taka dobra! taka najlepsza! — powtarzała ona wśród łez bez ustanku, na co on tylko głową potrząsał przywtarzając, wreszcie po przestanku minut kilkunastu, jęknął boleśnie, głucho łkając:

— A mojaż! a moja!

Mimo długiej pauzy, która dzieliła słowa dziewczynki od jęku boleści wyrostka, był między niemi związek serdeczny, wyrażający jedną i tę samą myśl, jak olbrzymią stratę ze śmiercią matek ponieśli oboje.

I znowu Xantha pierwsza przerwała zapytaniem głuche milczenie, któremu niejaki cel wytknęła:

— Kogoż ja mam już na świecie?

Znowu długo trwało, nim Phaon zdobył się na odpowiedź i szepnął niby jej wierne echo:

— Tak, kogoż?

Były to tylko dwa słówka bez znaczenia, ale z nich wiała boleść tak głęboka, o jakiej jej serduszko dziecięce nie miało wyobrażenia.

Zaledwie usta chłopca te słowa wymówiły, przycisnął oczy, dłonią, pierś kurczowo mu się ścisnęła i wreszcie z pod palców zaciśniętych wytrysnął strumień łez dobroczynnych.

Oboje mieli jeszcze ojców, ale zapomnieli o nich w tej strasznej chwili.

Któż sobie zaraz przypomina, gdy słońce zagaśnie, że jest jeszcze księżyc i gwiazdy na widnokręgu.

Gdy Phaon rozpłakał się tak gwałtownie, Xanthy łzy ustały cokolwiek, długo, długo wpatrywała się w niego z serdeczną litością, czego on widzieć nie mógł, gdyż dotąd miał oczy dłońmi zasłonięte.

Małe dziewczątko zrozumiało, iż spotyka się z boleścią, stokroć od jej własnej silniejszą i skoro to pojęła, zapragnęła boleść tę ukoić.

Jak w zawiązku, zaledwie z ziemi kilka listków wypuszczającym, jest już cała przyszła roślina, z kwiatami i owocem nasiennym, tak drzemie w sercu najmniejszej dziewczynki instynkt macierzyństwa, które chętnie łzy osusza, radzi i wszelki ból koi.

Gdy Phaon nie ruszał się z miejsca, jakby skamieniał w nadmiarze boleści, Xantha zbliżyła się do niego cichutko, pociągnęła go delikatnie za koniec płaszcza i słodko szepnęła:

— Chodź ze mną, coś ci ślicznego pokażę. Czworo gołębiąt z jajka się wykłuło, takie mają szerokie dzióbki, takie śmieszne, a takie szkaradne!

Jej towarzysz odjął dłonie od oczu krwią zaszłych i odrzekł łagodnie i przyjaźnie:

— Zostaw mnie dziecię!

Ona jednak nie dała za wygranę, porwała go za rękę i za sobą pociągnęła, mówiąc:

— Musisz pójść! U mojego wózka dyszel złamany.

Phaon tak przywykł, być zawsze pod ręką, gdy mała którąś z zabawek popsuła, iż poszedł za nią machinalnie i dni następnych do niejednej czynności dał jej się zniewolić, choć myśli jego były gdzie indziej.

Nie odmawiał jej, aby dziecka nie zasmucać, a gdy powoli wracał do dawnej młodzieńczej swobody, i nawet z czasem, zaczął śmiać się z nią razem, cieszyła się, iż jej się udało pocieszyć go w smutku głębokim, i odtąd przyjmowała chętnie, tak jak dawniej, wszelkie z jego strony ofiary, ale jej samej się zdawało, iż jest jego maleńką mateczką, i że jest powołaną i upoważnioną, czuwać nad życiem i wszelkiemi jego czynnościami.

Gdy dorosła, bynajmniej tonu nie zmieniła; ganiła go lub pochwałą zachęcała, czasem nawet bardzo się martwiła, i dąsała na niego, gdy w grach, albo w tańcu zajmował się innemi dziewczętami, o których czasem, wiele, czasem mało, a z często nic wcale nie było do powiedzenia.

— Nie o mnie tu idzie — zwykle kończyła ostre strofowanie — mnie to zupełnie obojętne! ale znam aż nadto te nicpotem dziewczęta, i mam sobie za obowiązek przestrzedz cię przed niemi.

Wiele mu przebaczała, ale pod tym względem była nieubłaganą, i w wymówkach czynionych mu gotową była posunąć się aż do niegrzeczności.

Gdy teraz obok nagrobka stanęła, przypomniała sobie ową chwilę, w której go pocieszała i jak odtąd czuwać nad nim nie przestała, i że to wszystko było nadaremne, bo on się stara o bogatą dziedziczkę, a po nocach hula z flecistkami.

Tak, z flecistkami!

Semestra to powiedziała!

Wydał jej się zgubionym, na wieki zgubionym!

Jeżeli dziś rano przy źródle płakała, mówiła sobie, to z pewnością nie myślała o tej jakiejś nieznajomej z Messeny, nie! ona płakała łzami matki, która nie widzi sposobu powstrzymać syna marnotrawnego na błędnej drodze.

Sama sobie wydała się dziwną powagą obleczona, i byłoby jej się to wydało zupełnie naturalnem, gdyby nagle była ujrzała na swojej główce siedmnastoletnej, zamiast złotych splotów, włos siwizną przypruszony.

Krok jej był powolny, jakby istotnej matrony, główkę podnosiła w górę z dumą pewną i powagą macierzyńską, gdy zbliżała się do krzaków różanych nad morzem, w tem atoli nie było uczucia macierzyńskiego, iż starała się umyślnie zapoznawać wszelkie dobre przymioty w Phaonie, i najenergiczniej go potępiała, nazywając najniesłuszniej jego spokój niewzruszony, gnuśnością, jego gorliwość w służeniu jej niegodną mężczyzny słabością, jego małomowność, nieśmiałością człowieka ograniczonego i nieudolnego, a nawet jego pięknym i tak wymownym oczom, których spojrzenie rozmarzone nieraz dreszcz jej rozkoszną sprawiało, zarzucała ospałą bezmyślność.

Z tem wszystkiem nie wiele miała czasu myśleć o nowym konkurencie, wprzód trzeba było dawne Bóstwo zburzyć i strącić z piedestalu, a każde młotkiem uderzenie, tak bolesnem echem w sercu się odzywało jakby te razy w nią samą godziły i jej własną pierś rozbić miały.

Z A P Y T A N I E.

Krzak róży, do którego się zbliżała, stał nad samym brzegiem zatoki, należącej wspólnie do jej ojca i stryja, obok pięknej ławki z marmuru białego.

Nie jedna zima porobiła rysy i szpary pomiędzy spojonemi niegdyś szczelnie ciosami marmuru, i na żółto brzegi tychże pofarbowała.

Zdaleka już spostrzegła, iż siedzenie nie jest wolne.

Obok ławki wpadało źródełko przez nas wyżej opisane z szumem do morza, i tutaj najchętniej prały ich dziewki bieliznę domową.

Czy użyły właśnie ławki, aby na niej wysuszyć mokre kawałki?

Nie!

Na twardym marmurze leżał mężczyzna, a ponieważ słońce coraz wyżej na strop niebieski wypływało, aby się ochronić od jego zbyt jaskrawych promieni, nasunął płaszcz biały na twarz i oczy.

Jego nogi obute i jego biodra jakby do drogi opasane, z pod płaszcza wyzierały.

Poznała od razu wypoczywającego tamże młodzieńca.

Był to Phaon!

Byłaby się tego domyśliła, choćby tylko dwa palce Phaona ujrzała!

Słońce miało się ku południowi, a on dotąd leży i spi!

Zrazu przestraszyła się tutaj go zastawszy, wkrótce jednak z przestrachu ochłonęła, a natomiast oburzyła się gwałtownie, i znowu stanęły jej w myśli flecistki, z któremi zapewne całą noc przehulał, aż do najwyższego utrudzenia.

— Niech sobie spi — mruknęła dumnie i pogardliwie, przechodząc koło niego; nacięła mnóstwo róż, któremi krzaki jaśniały, niby firmament zasiany gwiazdami barwy złotej i purpurowej, usiadła na miejscu wolnem, powyżej jego głowy przykrytej, śledziła raz po raz morza powierzchnią, a ponieważ statek z Messeny nie pokazywał się, wzięła się do wicia wieńca z róż.

Mogła tę pracę, tak dobrze tu, jak i gdzie indziej załatwić, a to jej przecie zupełnie obojętne, czy obok niej Phaon spoczywa, czyby też leżał tobołek z bielizną wypraną!

Serce jej jednak zadawało kłam tym słowom pod nosem szeptanym, gdyż biło tak gwałtownie, że aż jej to ból sprawiało.

I dla czegoż jej palce ruszać się nie chciały, a oczy zaledwie mogły odróżnić, róże purpurowe, od żółtych?

Cicho było w około niej, ani listek nie drgnął na gałęzi, nawet morze lazurowe drzemać się zdawało, a jeżeli szersza fala do brzegu nadpłynęła, to trąciła o niego z lekkim i ledwo dosłyszanym szelestem.

Niby sen czarowny, okrążał jej róże motyl o kolorach tęczy, szybsza od myśli wyskoczyła z rozpadliny po między ciosami kamienia Lacerta i bez szelestu u jej nóg w trawie się ukryła.

Tam daleko, jakby z po za lazurowej zasłony, wyzierały brzegi Kalabryi, a bliżej i dalej, ale zawsze bez szelestu, płynęły z rozpiętemi żaglami okręty, statki i czółna, niby łabędzie po wody źwierciadle. Nawet Cykady nie odzywały się wcale, tak było cicho, tak strasznie cicho w około, jak gdyby brakło tchu w wielkiem łonie świata całego, chociaż wyglądał tak świetnie, kwitnąco i czarownie.

Nieruchoma siedziała Xantha obok uspionego, a serce ciągle w jej piersi z taką siłą uderzało, iż wśród tej milczącej przyrody, wśród tej ciszy uroczystej, która ją niemal przerażała, jedynym odgłosem było bicie jej serca własnego.

Promienie słoneczne padały prostopadle i bez litości na jej głowę odkrytą, lica jej pałały, niepokój coraz większy ją opanowywał, i z pewnością nie dla tego, aby zbudzić, ale po prostu z chęci, aby głos jakiś usłyszeć, najprzód krząknęła, potem głośniej zakaszlała, a gdy to po raz trzeci powtórzyła, poruszył się spiący, odwinął połę od płaszcza, którą był głowę okrył, podniósł się powoli, usiadł na ławce, i całkiem po prostu, głosem jak zwykle łagodnym i spokojnym, przemówił:

— A! jesteś tu Xantho?

Raczej cicho, niż głośno brzmiały te słowa, a jednak radość z nich przebijała.

Dziewczę spojrzało przelotnie na obudzonego, i nagle obróciło się plecyma do niego, zajęte wiciem wieńca, jak gdyby sama jedna dalej siedziała.

— I cóż? — spytał patrząc na nią pięknemi, czarnemi oczami, zdziwiony iż odpowiedzi nie otrzymał.

Gdy dalej nie popatrzywszy mu w oczy nawzajem trwała w milczeniu, zawołał:

— Życzę ci dnia wesołego Xantho!

Dziewczyna przysłoniła ręką oczy i milcząc na morze patrzyła.

Przytem drgały jej usta purpurowe, i wypuściła z rąk drżących róże uwite.

Młodzian pogonił za jej wzrokiem, potem w górę popatrzył, i znowu z równą prostotą i spokojem przerwał milczenie, lekko się uśmiechając:

— Doprawdy słońce mnie dopiero uczy, jak długo tutaj spałem! Nie wiele braknie do południa.

Zimna krew młodzieńca oburzyła Xanthę w najwyższym stopniu.

Jej natomiast krew w żyłach zakipiała i musiała całą siłą wstrzymać się, aby mu nie rzucić róż wszystkich na głowę.

(Dokończenie nastąpi.)

☞ *Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 7. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“*

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał MIECZYSŁAW SCHMITT.

(Dokończenie).

ANNA.

Nie długo?

LEONIA.

Przecież perła nie jest ubraniem na codzień... Perła lekka jak piórko, a kilka ich razem, gdy okolą szyję, tak jakoś ciężą, gnietą... (przypatruje się perłom) Nie chciałabym z wami przebywać za często. Jesteście jak kwiat konwalyi, ale zwiędły, martwy!

ANNA.

Po ślubie zrzucisz... No a pierścień!

LEONIA.

Pierścień? Nie...

ANNA.

Weź... Takbym cię rada ustroić, by cię cały świat podziwiał. Włóż go na mały paluszek, pokaż rękę (bierze jej lewą rękę i wkłada na średni palec pierścionek, który zlatuje i pada na ziemię) Za wielki! (schyla się i szuka) Lecz gdzież się podział? (oddala się nieco, a Leonia wpatruje się w jeden punkt na ziemi, potem schyla się nagle, podnosi pierścionek, przyciska do ust i chowa w ręku) Leonio, patrzaj, może gdzie leży koło ciebie!

LEONIA.

Jest... (pokazuje).

ANNA.

Dzięki Bogu, tak się zlękłam, żeby nie zginął!... Spróbój na inny palec.

LEONIA.

Nie Anno, za wielki... Patrzaj... Schowam go sobie tak na pamiątkę... Dobra hrabina! Nie wiesz czy już zdrowa?

ANNA.

Już prawie całkiem, czego najlepszym dowodem, iż dzisiaj wszyscy wyjeżdżają... Widzisz dobrze mówiłam, że oni nie wytrzymają długo na wsi... Lecz Leonio, co tobie, tak zbladłaś.

LEONIA.

Mówisz żem zbladła? Te perły takie zimne!

ANNA.

To zrzuć je lepiej...

LEONIA.

Nie (idzie ku ławce) Jestem znużona, usiądę. Czy widziałaś dzisiaj... Karola? (siada).

ANNA.

Był tu i chciał się z tobą koniecznie widzieć.

LEONIA.

I czemuż się nie widział?... Czy był wesoły?... Tak bym pragnęła, by był szczęśliwy.

ANNA (siadając koło niej i pieszcząc).

Z tobą by nie miał być szczęśliwym!...

LEONIA.

Będzie!... (szybko) Czyż nie wart, bym każdą chwilkę mego życia jemu poświęciła... Jemu i tylko jemu!... Anno... Pójdziemy już nie długo...

ANNA.

A pójdziemy!...

LEONIA.

Otworzą kościół, ksiądz wyjdzie przed ołtarz, my uklękniemy i...

ANNA (wesoło).

I zostaniesz żoną ukochanego.

LEONIA (jakby do siebie).

Ukochanego!... I porzucę ten cichy domek, mego ojca, wszystko!... I pójdziesz za mężem za morza i lądy, bo jego ziemia będzie twoją, bo ty i on będziecie jedno... Anno... chciałabyś wyjść za mąż? zazdrościsz mnie?...

ANNA.

Tobie? bynajmniej. Chociaż gdybym kogo pokochała...

LEONIA (patrząc na nią).

Więc nigdy nie kochałaś?

ANNA.

Ja?... Nie... nigdy...

LEONIA.

Nie znasz miłości?... Widzisz miłość, to tak, jak światło wśród nocy. Ujrzysz je z daleka, koło ciebie ciemno... Przyjdziesz za blisko, to cię opali! I tak niepewna, to się oddalisz, to znowu przybliżysz, aż siła jakaś pchnie cię w ten żarem ziejący ogień. Rozum się mąci, serce bić przestaje, a duch ulata gdzieś w nieznane sfery. I leci i leci duch śmiały... aż się o niebios sklepienie otrze, niebios świętego powietrza zaczerpnie i niem tam żyje... i niem oddecha. Anno... chciałabyś kochać?

ANNA (zamyślona).

Nie wiem....

LEONIA (wstając).

Dziecko... Zapytaj tej trawki, czy chciała na to wyrosnąć, by ją zdeptała niebaczna stopa ludzka!... Spytaj to ptasze, czy chciało się urodzić na łup żarłocznemu sępowi... A, jednak... (spostrzega wychodzącego ze szkoły Jazowskiego i biegnie ku niemu) Ojcze!...

Scena IV.

ANNA, LEONIA, JAZOWSKI.

JAZOWSKI (tuląc Leonię).

Dziecko moje, cóżeś tak smętna?... Patrzaj, słońce przyświeca, niebo jasne, ty jedna będziesz pochmurna w dniu twego wesela!...

LEONIA.

Mam cię opuścić ojcze, czyż mogę być wesołą?...

JAZOWSKI.

Czyż twoje szczęście nie będzie i mojem? (patrzy na nią) Rozpogodź twarzyczkę!... Lecz co widzę?... cóż to za perły?...

ANNA.

To dar od hrabianki (w czasie dalszej rozmowy wychodzi powoli do domu).

JAZOWSKI.

Poczciwi ludzie, szkoda że nas opuszczają. Lecz dziecko, zkąd ten smutek na twem licu?

LEONIA.

Nie jestem smutną. (uśmiecha się) Widzisz drogi ojcze, jestem tylko jak ptasze, któremu już czas wzlecić o własnych siłach, a niepewne jeszcze mocy swych skrzydełek waha się i tuli do gniazdka (żartobliwie) Ale niechaj raz wzleci, daremnie matuś będzie w gniazdku świérkać... już niepowróci!...

JAZOWSKI.

Niepowróci, bo sobie ulepi swoje gniazdko. Tam sobie zbierze zasoby do życia, tam spełni swój obowiązek, bo takie jest prawo natury! Lecz mówiąc twojemi słowy, czyż się w tem gniazdeczku nie znajdzie miejsce i dla starego inwalida, którego skrzydła ubezwładni starość?...

LEONIA.

Czy się znajdzie? Lecz lot twój ojcze pozostanie zawsze młody. Tyś nie z tych ludzi, co ich łamie życie.

JAZOWSKI.

Dziecko, minął już czas, w którym pragnąłem wzlecieć wysoko... wysoko... wzbić się po nad wszelkie przeszkody i ujrzeć spełniony cel mego życia. Leonio, ważna dziś chwila w twem życiu. Idź jej drogą, spokojna, wesoła, ale idź niezapominając o przeszłości, a bez chęci wdzierania się w tajemnice przyszłości. Życie, to praca ciągła a nieszczęśliwy jest ten, kto się ogląda na jej owoce. Spełniaj twój obowiązek, nie patrząc, kto zbierze zasiew, bo cię czekają tylko zawody!

LEONIA.

Ojcze, czy słowa te podyktowało ci własne doświadczenie?... Może tak nie jest... Patrz ojcze, ludzie ci chwilowo zbłąkani, omanieni, zwrócili się wnet ku tobie i dzisiaj posiadasz napowrót ich zaufanie i miłość. Czyż nie jest to owocem twej pracy?...

JAZOWSKI.

Tu o mnie nie idzie... Cóż znaczy jednostka, gdzie trzeba tysięcy? Innych mam na myśli... Hrabia na przykład... (patrzy na nią).

LEONIA (słabo).

Cóż hrabia?...

JAZOWSKI.

Leonio!... Tyś zbladła!...

LEONIA.

Ojcze!...

JAZOWSKI.

Dziecko. nie wiem zkąd, ale jakaś myśl szalona... Leonio, ty bledniesz!... Na Boga, ty ukrywasz coś przedemną...

LEONIA.

Ojcze, litości...

JAZOWSKI.

A, więc się sprawdziły słowa tego człowieka!

LEONIA.

Jakie słowa?... jakiego człowieka?... Ojcze!...

JAZOWSKI.

Nie Leonio... Powiedz, prawda... To niemożebne... Gołąbko moja, białe twoje pióra...

LEONIA (przerywa).

Ojcze nie mów tak na Boga! Zkąd te myśli... słowa... (na stronie) Boże litości! (głośno) Ojcze jam spokojna... Patrz byłam blada, wzruszona twojemi słowy, teraz rumieniec twarz mi okrywa... Ojcze spojrzyj, śmieję się do ciebie... Ojcze nie obawiaj się, Leonia twoja nie zapomni nigdy, czyją jest córką!

ANNA (w drzwiach).

Leonio, czas kończyć ubranie (wychodzi).

JAZOWSKI.

Dziecię, daruj staremu ojcu, ale ta myśl szalona, przeszyła mi serce jak błyskawica... Lecz jestem już spokojny (całuje ją w czoło) Idź, włóż na twe skronie zielony wianek, a Bóg niech będzie z tobą...

LEONIA (spostrzegając Sztorca).

Boże, ten człowiek!...

Scena V.

Ci sami, SZTORC.

JAZOWSKI.

Cóż to pana sprowadza?...

SZTORC (kłaniając się).

Dzień dobry. Nu byłem na poczcie, jest tam list do pana.

JAZOWSKI.

Do mnie?

SZTORC.

Nu, do pana. A że na nim jest napisano „pilno" myślałem, iż należy pana zawiadomić.

JAZOWSKI.

Dziękuję panu (do Leonii) Nie pojmuję kto może do mnie pisać...

SZTORC.

List z czarną pieczęcią! (w czasie dalszej rozmowy odchodzi).

LEONIA (z pewną radością).

Ojcze, może moja ciotka...

JAZOWSKI (patrzy na nią).

Leonio, ja te słowa twoje zrozumiałem.

LEONIA.

Ojcze... zrozumiałeś?...

JAZOWSKI.

A więc ty nie chcesz zostać żoną Karola?

LEONIA.

Ojcze!

JAZOWSKI.

Leonio, córko moja, więc to prawda!

LEONIA.

Ojcze, posłuchaj... u nóg twoich żebrzę litości!...

JAZOWSKI.

Dziecko moje!... (patrzy na nią i po chwili niemej walki mówi) Litości pragniesz, a gdzież ją znajdziesz jak nie tu przy mem sercu! Ono cię obleje miłością czystą rodzicielską, ono złagodzi cios, który odczuwam a którego nazwać nie chcą moje usta. Dziecię, oni nie dla nas... Inny ich świat, i świat też cały nas dzieli... Leonio... oby Bóg dał, by list ten był twojem zbawieniem! (wychodzi szybko furtką).

LEONIA (sama).

Ojcze!... Poszedł!... O Boże litościwy, co się dzieje z mojem biednem sercem? nie poznaję już siebie... Dla tego, że śmierć ciotki uniemożliwiłaby ślub, tem się ucieszyłam... Nie, szalona już jestem, nie wiem co myślę... co mówię... (siada na ławce i zakrywa twarz rękoma) Boże wielki, czyż serce moje nigdy bić nie przestanie?... (zamyśla się).

Scena VI.

LEONIA, KAROL wchodzi furtką nieubrany.

KAROL.

To ona!... Kobieta, którą kochałem a która została kochanką hrabiego!... Leonio, czas do ołtarza!... (gdy mówi dalej, Leonia wstaje i patrzy nań) Czy pamiętasz, jak niedawno na tem samem miejscu przysiągłem ci, iż każde twe słowo, będzie dla mnie świętem... Słuchaj czas jeszcze, powiedz, że to wszystko fałsz, kłamstwo!... a wrota kościelne wnet się przed nami otworzą... Leonio... ty milczysz?...

LEONIA.

Cóż mogę odpowiedzieć?...

KAROL.

Co?... Jedno słowo... Powiedz żem skłamał, że hrabia nie był nigdy twym...

LEONIA (przerywa).

Dość tego!... Ażeby się bronić, potrzeba zawinić... a jam niewinna!...

KAROL.

Niewinna!... (patrzy na nią) Chociaż ty się nie chcesz bronić, te perły mówią przeciw tobie. A, tyś już bezczelna!... Zkąd masz te perły?... Więc to hrabiego zapłatę ubierasz, mając iść ze mną do ołtarza!

LEONIA.

Do ołtarza?... nigdy!... Słuchaj, za chwilę powróci mój ojciec...

KAROL (przerywa).

Żeby ci nawet i piekło przyszło w pomoc, drzyj bo nie wyjdziesz z tego tak gładko. Zemsta moja, dosięgnie cię, choćby i na drugim końcu świata!...

LEONIA.

A więc mnie zabij, a nie potwarzaj!

KAROL.

Mam cię zabić?... Nie... I wtedy nie mogłem cię zabić, kiedyś wyszła blada z pokoju hrabiego i skradałaś się ku domowi, jak cień nocny... Aleś mnie zobaczyła!...

LEONIA.

Przysięgam, że cię nie widziałam... O gdybym była przeczuła, iż byłeś tak blisko...

KAROL (szydząc).

Cóż... urwałaś... Śmiało tylko...

LEONIA (z wytężeniem).

Nie byłabym wróciła do domu hrabiego!... (nagle) Słuchaj, przed chwilą jeszcze chciałam twoją zostać. Karolu, myślałam że będę szczęśliwą, widząc ciebie szczęśliwym. Tyś jednak porwał struny mego serca, wydają one teraz same dzikie tony... już nie wiem co czynię, co mówię... Nas dzielą ludzie, świat cały... wieki... Twoją już być nie mogę, nigdy!...

KAROL.

Bo kochasz hrabiego!...

LEONIA.

Nie!... Boże... (ściska czoło rękoma) Czy ja dobrze słyszę... Aaa.. nie... jam szalona!... (ogląda się patrzy przez chwilę na Karola, i nagle wybiega do domu) Ja bym go miała kochać!... (wychodzi.)

KAROL.

I ja tę kobietę kocham!... (zwraca się ku wyjściu) Lecz nie, miłość ta przeszumi prędko... przy kieliszku... przy kochance... (staje) kochance? Nie... ożenię się z pierwszą lepszą (spostrzega Gómnickiego) choćby z Anną!... oto jej ojciec!...

Scena VII.

KAROL, GÓMNICKI później ANNA.

KAROL.

Cóż panie, czy zechcesz mnię za zięcia?...

GÓMNICKI.

Co ty mówisz? co tu się dzieje?...

KAROL.

Co?... nic... Leonia zostanie i nadal kochanką hrabiego, a jeżeli pozwolisz, twoja córka moją żoną!...

GÓMNICKI.

Szaleńcze! (ogląda się) Więc zerwałeś?...

ANNA (w drzwiach)

Ojcze! Na Boga biegnij po doktora, Leonia zemdlała... nieżywa!... (wychodzi)

GÓMNICKI.

Koniec świata, gdzież Jazowski?...

KAROL.

Spiesz pan tam, ja lecę po doktora!... (wybiega furtką).

GÓMNICKI.

Dla Boga, co tu się dzieje?... (wchodzi do domu).

Scena VIII.

ARTUR, OKTAW, w strojach podróżnych.

OKTAW.

I pytam cię, po co tu idziesz?

ARTUR.

Ot widzisz, nie ma nikogo, musieli odejść do kościoła... Tak bym pragnął, zobaczyć ją choć raz jeszcze... (rozgląda się).

OKTAW (ruszając ramionami).

A pomyślałżeś, czy jej sprawisz tem przyjemność?... Chodźmy z tąd. I tak ciotka z Emmą będą niespokojne, że nie jedziemy za niemi.

ARTUR.

Chwilkę jeszcze! (siada na ławce) Wszak nie powrócą tak rychło.

OKTAW.

Lecz mogą powrócić, a gdy cię tu ujrzy...

ARTUR.

Będzie to już po raz ostatni w życiu.

OKTAW.

Myślisz tylko o sobie, lecz pamiętaj że tu nie o ciebie ale o nią idzie.

ARTUR.

Nie mów tak, miej litość!... (po chwili) Oktawie, czyś ty nigdy nie kochał?..

OKTAW (ponuro).

Nigdy... Kochać, a tą miłością zabijać, to dzieło szatana!...

ARTUR.

A tyś aniołem!...

OKTAW.

Nie, tylko nie kochałem. Lecz chodź słyszę, czyjeś kroki... Arturze chodź, ktoś tu idzie!...

ARTUR (wstając).

Leonio, duch mój jednak tutaj pozostanie!

Scena X.

Ci sami, wbiega KAROL.

ARTUR.

Ten człowiek tutaj...

KAROL.

Hrabio, tyś ją zabił!...

OKTAW.

Szaleńcze, co mówisz?...

KAROL.

Idź hrabio... (wskazuje na dom) Tam leży jej trup!...

ARTUR.

Na miłość Boga!... coś ty powiedział?... Ty kłamiesz...

KAROL.

Kłamię?... Dwadzieście furmanek rozleciało się za doktorem, za chwilę on tu będzie i rzuci ci tę prawdę w oczy, a bodajby cię ona zabiła!...

ARTUR.

Szalony!...

OKTAW.

Cicho!... Jeżeli jest prawdą, co ten człowiek mówi, niechaj dzikie wasze głosy snu jej nie przerywają... Odejdźcie z tąd... Arturze tyś przysiągł... Chodź za mną!...

ARTUR.

Aa... wobec jej śmierci ustają wszelkie przysięgi. Muszę ją zobaczyć!

OKTAW (zastępując mu drogę).

Nigdy... Ona ci wskazała drogę obowiązku, a przekleństwo ci, gdybyś z niej zstąpił.

ARTUR.

Oktawie... Miej litość... puść mnię!...

Scena XI.

Ci sami, w drzwiach okazuje się Leonia wsparta na Annie.

ARTUR.

Boże!... Ona żyje!... (stoi dalej nieruchomy).

KAROL.

Więc umarli wstają!...

LEONIA (wchodząc powoli wsparta na Annie).

Żyję... (uśmiecha się) Nie tak mi łatwo rozstać się z tym światem (ogląda się) Anno, gdzie mój ojciec?

ANNA.

Nie wiem... Lecz usiądź... jesteś tak osłabiona!...

LEONIA.

Tam... na ławeczce... (siada, Anna staje koło niej) A... ojciec poszedł po list... Hrabio spodziewałeś się zastać tu wesele... a widzisz smutek... Nie będzie ślubu... Ten list...

KAROL (ponuro).

O!... nie będzie!... (zwraca się).

LEONIA.

Gdzie odchodzisz, pozostań chwilkę... Zaraz ojciec wróci z tym listem... List z czarną pieczęcią... Ludzie smutek kirem oblekają... a jam w bieli... (patrzy na siebie)

OKTAW.

Jesteś pani zbyt osłabiona, nie mów tyle... Arturze... czas nam w drogę...

ARTUR (jakby ze snu).

W drogę?...

LEONIA.

Podróż? (z wysileniem) Czy Emma już odjechała?... Podziękuj jej hrabio za pamięć... Te perły, pozostaną ze mną na zawsze, na zawsze!...

ARTUR.

Pani, nie mów tak, słowa te rozdzierają serce!... Chwilowo osłabiona... wnet zdrowie powróci!... (na stronie) Co za męczarnia...

LEONIA (mówi jakby bezwiednie).

Czyż jestem niezdrową?... Nie... Zdaje mi się tylko, że wokoło mnie wszystko inaczej wygląda, że jestem lutnią o tak wątłych słabych strunach, iż lada podmuch wiatru wygra na niej jakieś dziwne tony (patrzy na Karola) Raz brzmią one wesoło, skocznie... niby hymn weselny... (patrzy na Artura) lub pieniem szczęścia spokoju! (spogląda smutnie po sobie) a tu tylko ich tony łzawe... ponure... a takie zimne... (tuli się do Anny).

ARTUR.

Pani, rozumiem te słowa. Lecz na Boga, zaklinam cię raz jeszcze...

LEONIA (przerywa).

Hrabio!... (wyciąga z kieszeni pierścionek) To dar od hrabiny. Panie... daj go Emie,... Mnie zostaną perły...

OKTAW (biorąc)

Wyręczę Artura i oddam go Emie...

LEONIA.

O!... uczyń pan to!... Co to za szmer?...

Scena XI.

Ci sami, Wójt i kilku wieśniaków.

OKTAW.

Jacyś ludzie... Wójt i kilku innych.

WÓJT (zbliżając się).

Dzięki więc niech będą Najwyższemu, toż gołąbka nasza zdrowa!...

LEONIA.

Zdrowa... widzicie, tylkom jak kłos po burzy.

WÓJT.

Lecz panienko, zkąd ta burza?... Wszak dzisiaj miał się odbyć wasz ślub... (patrzy groźnie na Karola).

KAROL.

A, zakrawa na pogrzeb!...

LEONIA (wstając).

Karolu, jeszcze jestem żywa!... Ludzie, świata tego ja nie chcę porzucić... Lecz gdyby... tu zwami zostanie mój ojciec. Bądźcie dla niego dziećmi, jak on był zawsze waszym ojcem. Idźcie z nim razem, a ja tam będę wam błogosławić (spostrzega wchodzącego szybko Jazowskiego) Ojcze... Oktaw pociąga za sobą Artura ku furtce, gdzie stają)

Scena XII.

Ci sami, Jazowski.

JAZOWSKI (tuląc Leonię).

Dziecię nieszczęśliwe, odgadłaś. Siostra moja nie żyje!... Lecz cóż to Leonio? tyś blada... zimna...

LEONIA.

Dla ciebie żyć będę!...

KAROL.

(patrzy ponuro i wychodzi powoli).

JAZOWSKI.

Dla mnie tylko?... (spogląda po innych) A ci, czyż nie mają do nas prawa?...

LEONIA.

O tak!... dla ciebie i dla nich, bo w nich i ty żyjesz!...

JAZOWSKI.

O ludzie... Ostatnia, to dla was moja ofiara i największa... Ale dzieci... to ptasze, chce nas porzucić... Lecz my go nie puścim, nieprawdaż?... My je otoczym taką miłością jakiej jej nikt nie da, bo czystem prawdziwem uczuciem, wspólnego naszego dobra i szczęścia... Ludzie... niechaj wątłe to ptasze połączy nas tak, by już nas nic rozłączyć nie zdołało.

WÓJT.

Pan Bóg niechaj dopełni słów waszych. Lecz panienko... wyście nasza gołąbka... i my was nie puścim!... Złączym się razem z waszym rodzicem i będziem trzymać w klatce słowika!

LEONIA (marząc wsparta na ojcu).

Słowika!... Tony jego smętne... czy się wam na co przydadzą?...

Modrzewiu gałązka, kwiat biały jaźminu,
Lub w pośród błyszczących jarzębin karminu
To pałac przezroczy królewskiej dzieciny
Miłości tajemnic!...
Oblany on łzawym księżyca promieniem
Co z niebios nań spływa łagodnym strumieniem
Królewskiej swej lubej zasyła witania,
Miłości hymn nucąc...
A pienia te jego, na razie łagodne,
Tak rzewne, urocze, dziecięcio swobodne,
W co raz to silniejsze wzbijają się tony
By arf stu oddźwięki!...
I zda się, raz płaczą, raz znowu się śmieją...
Jak w chwili rozpaczy, lub szczęścia nadzieją.
Aż cicho tam nagle!... Czy usnął ptaszyna?...
Czy zamilkł na wieki!...

(tuli się do Jazowskiego).

JAZOWSKI.

Pójdź dziecię spocząć... siły cię opuszczają...

LEONIA.

O nie!... Ty pracy... ja tobie, złożymy w ofierze to złamane życie!... (odchodzą powoli ku domowi).

KONIEC.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.